

Dąbrowski, Stanisław

W sprawie typologii i charakterystyki podstawowych publikacji naukowych - Trzylandowski, Jan. Edytorstwo. Tekst, język, opracowanie. Warszawa 1976

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 25/2, 395-410

1980

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stanisław Dąbrowski
(Gdańsk)

W SPRAWIE TYPOLOGII I CHARAKTERYSTYKI PODSTAWOWYCH PUBLIKACJI NAUKOWYCH W *EDYTORSTWIE* JANA TRZYNADŁOWSKIEGO*

1. UWAGI WSTĘPNE: O POLEMICE

Naukową kontrowersję rozumiem zupełnie inaczej niż autor (dalej: JT), który wyraźnie skłonny jest do łączenia z nią brutalności i nierzeczowości (s. 59)¹. Kontrowersja to ostra różnica przeciwnych mniemań, a nie „ostra” wymiana słów. Ta ostatnia — to kłótnia. Dyskusja osiąga pełnię wyrazistości stanowisk dopiero wtedy, kiedy dojrzeje do stanu kontrowersji. Kontrowersje dynamizują myśl naukową. Unikanie ich wynika albo z lęku, albo z dyktatury jednej „wersji”, ale oba te motywy są jawnie pozanaukowe (drugi nawet wrogi życiu naukowemu). Zgodzę się natomiast z JT na określenie polemiki jako dyskusji atakującej, zmierzającej do obalenia tez przeciwnika (s. 117), acz i tu powiem za Konradem Górskim, że nikt lekkomyślnie nie burzy mocnej budowli². Ale sprawdzić, czy ona mocna, należy.

Jak między studium, rozprawą i artykułem naukowym (s. 58), tak też i między dyskusją i polemiką, nie jest ani możliwe, ani celowe, ściśle rozgraniczenie gatunkowe (w praktyce pisarskiej, nie w teorii). Encyklopedia unika polemik (s. 71), ale ja nie piszę encyklopedii i nie godzę się ani z opinią, że kontrowersja jest wielce ryzykowną odmianą polemiki, ani z Erazmowym adagium: „Dulce bellum inexpertis”. Moje przedsięwzięcie jest recenzyjnym odpowiednikiem tego, co się w technice i przemyśle nazywa techniczną próbą wytrzymałości wytworu. Tam poddaje się tej próbie pojedyncze egzemplarze serii produkcyjnej, ale produkcja naukowa jest (na

* Odpowiedź Jana Trzynadłowskiego na ten głos polemiczny zostanie opublikowana w następnym numerze „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki”

¹ J. Trzynadłowski: *Edytorstwo. Tekst, język, opracowanie*. Warszawa 1976. Do stron tej pozycji odnoszą się niemianowane liczby w nawiasie.

² K. Górski: *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich*. Warszawa 1975 s. 152.

szczęście) jednoegzemplarzowa. W próbie takiej przysłowiowo „nie ma żartów” i tylko na tym polega rzetelność i społeczna odpowiedzialność wykonawcy próby. Wytwór po przejściu próby trafia na rynek odbiorczy. W humanistyce jest inaczej: recenzent sięga już po produkt, który trafił na rynek i dopiero wtedy — trafia w produkt³. Ale taka „techniczna próba wytrzymałości” — to zupełnie co innego niż Erazmiańskie z ducha, a Abelardowskie z metody rozpatrywanie „zarówno pozytywnych jak i negatywnych stron tez dyskutowanych” (s. 117). W dodatku dokonują próby nie całości książki, lecz (tym razem) jej wskazanego przez tytuł polemiki wykroju problemowego; i w odniesieniu do tak wyznaczonych granic powiem, że moja próba problemowego i formalnego kwestionowania nastawiona jest na taką szczegółowość, iż właściwie wyrażam zgodę na to wszystko, czego nie zakwestionowałem. Książka oczywiście stawiać będzie opór mojemu przedsięwzięciu, ale (jak mówi Hampshire): „Ten opór (...), którego jestem świadomy, określa moje położenie...”⁴. Do tytułowego wykroju problemowego skłonił mnie sam JT, który oświadczył, iż w *Edytorstwie* — „przedstawiono również analizę i typologię podstawowych publikacji naukowych” (s. 4).

2. PUBLIKACJE NAUKOWE

JT utrzymuje, że ściśle rozgraniczenie gatunkowe między studium, rozprawą i artykułem nie jest w praktyce ani możliwe, ani celowe, ale natychmiast wprowadza nieco arbitralne i dość mocne ich rozgraniczenie (s. 58), które można by nadwątlić uwagą, iż — wbrew JT — zupełnie poprawne są określenia: studium analityczno-monograficzne, artykuł syntetyczny itp. Nie ma też potrzeby sztywnego wiązania gatunkowości przyczynku naukowego z artykułem; książka, która się przyczyni do poprawnego postawienia czy rozwiązania problemu, jest doniosłym przyczynkiem w historii tego problemu (w niemieckiej praktyce naukowej mocno utrwaliło się rozpoczynanie tytułów od: „Beitrag...”, czy krócej: „Zur...”, „Zum...”). JT wymienił 11 „gatunków naukowych właściwych dla czasopiśmiennictwa” (s. 57): od studium po zestawienie bibliograficzne; ale ja sądzę, że wymienił wszystkie możliwe gatunki naukowej prozy i że zbędny jest ów pozór swoistości czasopiśmienniczej.

Zagadnienia rodzajów prac naukowych są omówione na dwa różne, nie dające się pogodzić, sposoby. Na s. 58 studium i rozprawa były dwoma rodzajami monografii; na s. 64 są to nazwy wymienne („często wymienne”) na określenie prac mniejszych od monografii (chodzi tu o monografię — książkę) albo prac — małych monografii. Na s. 58 studium było syntetyczne, rozprawa — analityczna, na s. 64 jedno i drugie jest w zasadzie analityczne i cząstkowe w typie ujęcia problemu (wzmianki o argumentacji i kwitowaniu stanu badań były tu zbędne, gdyż oba te zabiegi obowiązują w każdej

³ Jest to nawet zgodne ze starą zasadą edytorską: najpierw wydać, potem badać. — Por.: *Tekstologia w krajach słowiańskich. Zbiór referatów (...)* pod red. K. Górskiego. Wrocław 1963 s. 64.

⁴ Cyt. za: A. Gawroński: *Ani scholastyka, ani fenomenologia*. „Tygodnik Powszechny” 1977 nr 27 s. 2.

pracy naukowej, a nie akurat w artykule), choć studium określono także jako „próbę syntezy”, a rozprawę jako „wyraźnie analityczną”; a wszystkie te próby odróżnień zamyka stwierdzenie „powszechnej wymienności tych nazw gatunkowych”, a nawet (znów!) ich równoznaczności z nazwą „monografia”. Na s. 58 artykuł naukowy nazwany był przyczynkiem i wymagano przypisów bibliograficznych od wszystkich prac naukowych; na s. 64 artykuł nazwano (dość nietrafnie) „uproszczoną rozprawą”, służącą przedstawieniu albo własnych poglądów albo postulatów badawczych (postulowanie poglądów należy — wbrew JT — do propagandy, a nie do nauki), i przypisy uznano w nim za niekonieczne (byłoby samo *Edytorstwo* zbiorem artykułów?). Z reszty charakterystyki wynika, że czyniłaby ona wewnątrznie sprzecznym dość często spotykane określenie „artykuł materiałowy” (prace materiałowe do prac naukowych zaliczył JT na s. 61), a nie ma w niej takiego elementu, który nie byłby już wskazany (lub możliwy do wskazania!) w charakterystykach studium i rozprawy. Taki „sinusoidalny” (od odróżnień do nieodróżnialności) sposób omawiania przynosi szkodę i książce i (jeśli to możliwe) problemowi.

JT zdaje się sądzić, że artykuły i komunikaty naukowe można publikować w dzienniku (s. 56), co by świadczyło o nieodróżnianiu dziennikarskiego artykułu (czy komunikatu) na tematy naukowe od naukowego artykułu i naukowego komunikatu. JT powiada, że układ czasopism naukowych jest inny niż czasopism ogólnych, ale z podanych opisów tych układów inność ta nie wynika: tu i tam to, co najważniejsze i szczególnie aktualne, idzie na pierwszy plan, a sprawozdania i kronika na dalszy (s. 57). Nie tyle więc układ jest inny, ile różne są w różnych pismach rodzaje układanych materiałów. Gdyby jednak przez układ rozumieć porządek konkretnych materiałów albo określonych typów materiałów, to można by powiedzieć, że zasada układu w różnych rodzajach czasopism jest wspólna, a układy same — różne. Zresztą wydaje się, że w układzie czasopisma naukowego praktykowane jest nie tyle „przechodzenie od problematyki zasadniczej, centralnej (...) do spraw szczegółowych” (s. 57), które w takim przedstawieniu mogłyby robić wrażenie marginaliów, ile raczej od ujęć syntetycznych ku analitycznym, od ujęć ogólnych ku szczegółowym, przy czym każde z tych ujęć może dotyczyć problematyki naukowo doniosłej.

Wróćmy do sprawy monografii, zwanej też „pracą konstrukcyjną” (s. 61, 63). JT odróżnił monografię przedmiotową od problemowej i zaraz mówi o... „przedmiotowej monografii problemowej” (s. 63). W warunkach odróżnienia, w pierwszej z nich — ujmującej „komplet zagadnień danej dyscypliny” (s. 62—63) — moment referowania i opisu musi w zrozumiałym sposób górować nad momentem badawczym (tak właśnie bywa w podręcznikach, nawet uniwersyteckich). W naukach ścisłych, dzięki zwięzłości języka symboli, rozprawa może być monografią merytorycznie, a nie tylko formalnie (s. 65); w dodatku, mówiąc o pracach naukowych JT w ogóle dopuścił tożsamość rozprawy z monografią (s. 58, 64), zatem ta wzmianka szczególna o naukach ścisłych jest dezorientująca w swej zbędności. Podobnym przykładem zbędnego „dodatku” — typowego dla wykładu w *Edytorstwie* — jest podkreślenie, iż prace monograficzne — i to te dobrze skonstruowane — odznaczają się wysokim stopniem tzw. spójności (s. 64). Zbędność ta jest wieloprzyczy-

nowa, gdyż: 1° — „spójna” powinna być każda wypowiedź naukowa, monografii ta „spójność” nie wyróżnia; 2° — „spójna” konstrukcja pracy i dobra konstrukcja pracy — to tylko dwa określniki na tę samą jej właściwość. Kto charakteryzuje monografię jako rodzaj pracy naukowej, ten tak samo nie powinien wspominać o „dobrej monografii”, jak ktoś, kto charakteryzuje jamb jako rodzaj stopy wierszowej, nie powinien wspominać o „dobrym jambie”. Między monografią humanistyczną (odróżnienie nauk humanistycznych od społecznych nie jest skuteczne), a „niehumanistyczną” JT deklaruje różnicę, która jednak z komentarza wcale nie wynika, skoro w pierwszej mamy ujęcie „ze stanowiska danej dyscypliny” z uwzględnieniem „ujęć pomocniczych” (dokonanych przez inne nauki pokrewne), a w drugiej także mamy „punkt widzenia własnej dziedziny badawczej” i uwzględnienie „instrumentarium nauka pokrewnych” (s. 62—63); autorski wniosek o „różnozakośności pojęcia monografii” pozostaje, w świetle własnego komentarza JT, bezpodstawny.

Błędy problematyzacji zrastają się nieodróżnialnie z wadliwością logiczną i merytoryczną niejasnością poszczególnych sformułowań, a może nawet „organicznie” z nich wyrastają, dlatego uważna i surowa krytyka musi uderzyć właściwie w każde ze sformułowań, pochodnie tylko — rebus sic stantibus — zajmując się generaliami problematyzacji. Co znaczy uwaga, że praca naukowa może być „częstkowym zespołem treści naukowych” (s. 61)? Jeśli chodzi tylko o to, że praca naukowa może być poświęcona nawet jednemu zagadnieniu, to trzeba by dopowiedzieć, że — poświęcona „całkowitemu zespołowi treści” danej dyscypliny — byłaby albo podręcznikiem (przez wielu — nie zawsze słusznie — nie zaliczonym do prac naukowych), albo monstrum. Nie wiadomo, czemu JT do nauk humanistycznych zaliczył tylko niektóre (!) działy filozofii (s. 62). Nielogiczne jest umieszczenie — i to na pierwszym miejscu — wśród „nauk pokrewnych” wspomagających monografię historyczną — „różnych dyscyplin historycznych” (s. 62). JT zapowiedział wyliczenie „formalno-strukturalnych” wyznaczników segmentacyjnych w wydawnictwach naukowych i popularyzatorskich, ale z tym określeniem (trochę zresztą tautologicznym) zgodny okazał się tylko pierwszy wyznacznik (gatunek), bo drugi był merytoryczny (problem), a trzeci funkcjonalny (s. 76), a w dodatku z całości lektury książki dobrze pamiętamy o autorskiej praktyce rozłącznego traktowania zagadnień struktury i funkcji. Kiedy czytamy: „prace materiałowe, przyczynkowe” (s. 61), nie wiemy, czy przecinek między przymiotnikami jest równoznacznikiem słówka „czyli” czy słówka „oraz”.

Czasem terminologia, przyjęta wraz ze wstępnym podziałem zjawisk, ciąży potem mechanicznie nad określeniami tych zjawisk. Np. po odróżnieniu tekstów ciągłych (a więc wszelkich normalnych wypowiedzi językowych, rozwijających swój przedmiot) i „segmentowych” (słownik, encyklopedia), monografia zostaje określona jako „należąca do gatunku najkompletniejszego uporządkowania twierdzeń naukowych, wyłożonego tekstem ciągłym” (s. 62). Określenie to jest połączeniem namaszczonego banału z różnorodną nietrafnością. Wiadomo, że w encyklopedii nikt nie „porządkuje” naukowych twierdzeń. Jeśli coś jest naprawdę kompletne, to już nic nie może być odeń „kompletniejsze”; przymiotnik ten nie da się stopniować — z przyczyn

logicznych. W monografii naukowej nie tyle trzeba postulować „najkompletniejsze uporządkowanie twierdzeń”, ile raczej komplet uporządkowanych twierdzeń, gdyż monografię obowiązuje pewna pełnia zagadnieniowa. Nieudatne stylistycznie jest wyrażenie „gatunek uporządkowanych twierdzeń” czy może „gatunek uporządkowania twierdzeń”. Czemu akurat „twierdzeń”? Monografia nie układa się z twierdzeń, nie na tym polega przecież „badawcze ujęcie przedmiotu”. A więc z trudem tylko doczytujemy się intencji wyrażenia eliptycznego (zrealizowanego jednak niezreżymnie): monografia to taki gatunek pisarstwa naukowego, w którym chodzi o danie uporządkowanego kompletu zagadnień.

Indeksy, które w książkach ułożone są alfabetycznie, w rzeczywistości są swego rodzaju ewidencją problematyki, ale nie są wszak tej problematyki systematyką (s. 86). JT mówiąc o tym w samym przedmiocie (konstrukcja podręcznika) używa zamiennie różnoznacznym jednak określeń: wyznacznik, składnik, czynnik (s. 90—91). Są — oczywiście — do ustalenia czy opisanie różnice między humanistyką a przyrodoznawstwem, ale tam, gdzie ich upatruje JT, akurat ich nie ma (s. 63)⁵. Mówi o tym metodologia badań naukowych, że każda buduje (konstruuje) swój teoretyczny przedmiot badań (model, koncepcję) i przez jego pryzmat spogląda na konkretny materiał badań. Badacz literatury patrzy na literaturę poprzez obraną teorię dzieła literackiego, fizyk na zjawiska fizyczne poprzez teorię fizykalną. Nie widać powodu np. do umieszczania w jednym (jednorodnym?) szeregu — jako „konstrukcji zsyntetyzowanych” — macierzy matematycznej i ...gwiazdy supernowej, gdyż są to „byty” zupełnie odmiennego porządku (s. 95). Krytykowane przeze mnie opinie i ujęcia są obciążone właściwie tyleż nielogicznością, co niekompetencją. Sytuacja krytykującego staje się trudna: jest przekonany, że nie może powiedzieć niczego, czego by również nie wiedział JT, a jednak o zawartości krytykowanej książki musi wypowiadać długie szeregi uwag dyskwalifikujących, a chwilami traci pewność, czy ma do czynienia z osobliwością wyrażenia, czy z błędem zecerskim⁶. Np. czytamy, że „praca naukowa” jest „tekstem bibliologicznym i edytorsko uporządkowanym” (s. 61). Wyrażenie „tekst bibliologiczny” bliskie jest pleonazmowi i nie ma potwierdzenia w innych sposobach mówienia o tekście przez JT (wróć do nich). Dziwność jego ujawni zbudowanie zwrotów analogicznych: „tekst filologiczny” to byłby tekst na filologiczny temat, a „tekst językoznawczy” — na językoznawczy temat: ale kontekst wyklucza podobne znaczenie wyrażenia „tekst bibliologiczny”. Może chodzi o tekst przedrukowany jako książka? Ale wtedy zbędna (gdyż oczywista) byłaby uwaga o „edytorskim uporządkowaniu”. Może wreszcie jest tu błąd zecerski, a chodzi o „tekst bibliologicznie (= książkowo?) i edytorsko uporządkowany”? Ale

⁵ W charakterystyce indeksów w edycji naukowej inaczej niż JT (s. 86) rozłożyłbym akcenty, mówiąc, że one jednak w znacznie wyższym stopniu ułatwiają sprawne korzystanie „doraźne” z dzieła niż ułatwiają jego zrozumienie, wymagające przecież samodzielnego ogarnięcia całości.

⁶ Czasem jednak błąd drukarski jest niewątpliwym: „przekazuje, informuje (zam.: informacje) wizualne” (s. 105, „część o szerszym zakresie obejmuje cząstki zakresowo wyższe” (zam.: węższe; s. 62).

wtedy o edytorskim uporządkowaniu trzeba by wspomnieć przed „książkowym”. Więć — nie wiadomo.

JT sam nie przestrzega własnych odróżnień, skoro mówi o „tekstach popularyzatorskich” (s. 89) zamiast o utworach popularyzatorskich. Prawem do skrótu stylistycznego czy skrótu myślowego (s. 90) nie może się już zasłaniać ten, kto usiłuje wdrożyć określone rygory terminologiczne (a jest to usiłowanie JT). Nie ma zgody na praktykę mówienia: popularyzacja to tekst, wdrażanie to tekst (s. 89). Definicja, dowód, argument, wniosek itd. nie są (wbrew JT; s. 116) elementami tekstu naukowego (elementami tekstu są zdania w ich wymiarze językowym), lecz — jako pewne organizacje znaczeń są elementami wywodu dzieła naukowego, elementami zawartości dzieła. To wypowiedź naukowa zmierza do jednoznaczności, a nie „tekst” naukowy (s. 117). Zupełnie niezręczne jest wyrażenie „teksty społeczne” (s. 102), w którym chodzi zapewne o teksty prac naukowych dotyczących zagadnień społecznych. W całości książki (i nie tylko w tej sprawie) sposób autorskiego mówienia ulega zniekształceniu przez wadliwie respektowany wzgląd na deklarowanego odbiorcę tych rozważań — redaktora wydawniczego. JT jakby nie dość o nim zapomina, kształtując swe refleksje teoretyczne.

W nieudany sposób tłumaczy JT „charakter problemu” monograficznego, budując (też nieudane) zestawienie rymu z ...Mickiewiczem (s. 63). Wyodrębnienie problemu wcale nie jest jego autonomizacją. Wersologia wcale nie rozpatruje „rymu lub rytmu” poza obrębem wiersza, lecz w nim, a więc tam, gdzie „istnieją” i funkcjonują. Zresztą błędem jest łączne traktowanie (jako jednego przykładu) rymu i rytmu, bo są to zjawiska różne. Rym można z tekstu utworu wyjąć niemal tak samo jak cytat; rytmu — nie. Rym jest elementem tekstu; rytm — „jakością postaciową”, momentem tekstu utworu. Przedmiotem ujęć monograficznych w wersologii są schematy rytmiczne, rymowe, intonacyjne. Rewelacyjną tezę, że Mickiewicz istnieje „niezależnie od literatury polskiej” (chciałoby się zareplikować: „ale zależy jaki Mickiewicz!”), JT wypowiada w sposób, z którego wynika, że rym i rytm nie istnieją niezależnie od wersologii (jest to sprzeczne z wcześniejszym zdaniem, że istnieją w obrębie wiersza i to wyłącznie). JT pogmatwał sprawę potężnie, nawet gdyby założyć, że owa „literatura” oznacza „wiedzę o literaturze”. Cała myśl miała być zapewne taka: rytm — zjawisko wewnątrztekstowe, a więc bytowo nieautonomiczne, autonomizowane jest (metodologicznie i problemowo) przez wersologię; Mickiewicz, który może być wyodrębniony jako przedmiot monografii historycznoliterackiej, wszelako „istnieje niezależnie od literatury”. Ta (w intencji kontrastująca) paralela jest źle skonstruowana. Stosunkowi: „rytm — wersologia” odpowiada może stosunek „*Dziady* — historia literatury”, ale nie: „Mickiewicz — historia literatury”. *Dziady* w dziejach literatury istnieją również wyłącznie w ich „obrębie”, jak rytm w obrębie wiersza i jak — dodajmy — Mickiewicz „w obrębie” emigracji paryskiej. Czasem efektowne wnioski wynikają z błędnych rozumowań, a bogactwo zagadnień — z błędnych odróżnień.

Zbyt wąsko określa JT sposób prezentacji przedmiotu w wypowiedzi naukowej jako „pojęciowo-analityczny”. Bardziej częste i dopiero dostateczne byłoby nazwanie go teoretycznym czy badawczym, już metodologii nauk

pozostawiając ewidencję i typologię sposobów, z których jednym tylko jest analiza, a innym na pewno jest interpretacja. Interpretację — nie wiedzieć czemu — JT zarezerwował (jako sposób) dla popularyzacji, chociaż sam np. uznał w interpretacji fundamentalną metodę pracy edytora naukowego (badacza) za cel główny wcale nie mającego popularyzacji. Nieprawda, że akurat w pracy naukowej rygory uporządkowania wypowiedzi „mają decydujące znaczenie dla wartości informatywnej tekstu” (s. 8). Bezład godzi w wartość informacyjną każdej wypowiedzi, acz problem ładu nie daje się ująć globalnie: każdy gatunek literacki to przecież m.in. nadrzędna dyrektywa ładu wypowiedzi.

JT słusznie twierdzi, że język naukowy winien dążyć do jednoznaczności nieosiągalnej w języku naturalnym (s. 114). Znaczy to, że winien przekroczyć tę naturalność (tak czyni i JT), ale czy można ją przekraczać i zarazem poddawać się rygorom języka naturalnego, co także postuluje JT (s. 113)? Zresztą JT w tym samym akapicie wywodu (s. 117) od wypowiedzi naukowej żąda jej jednoznaczności i (zalecając „środki literackie”) dopuszcza jej wieloznaczność. JT wypowiedzi naukowej przyznaje nie tylko zadania argumentacyjno-dowodowe, ale również perswazyjno-impresyjne („przekonywanie czytelnika i dostosowanie jego sposobu myślenia do toku myślenia własnego”); (s. 117), a więc retoryczne, wykonywane przy pomocy wspomnianych „środków literackich” z właściwą im obrazowością, wieloznacznością, ekspresywnością i estetycznością. O dygresjach („elementach nadmiernie zautonomizowanych”) raz JT mówi, że naruszają konstrukcję pracy (s. 64), a raz znów — że ożywiają tok wywodów, a nawet ułatwiają zrozumienie przewodu myślowego (s. 118). Owym zachętom do przydawania pracy naukowej pojęć literackich osobliwie towarzyszy tolerancja (?) dla nieumiejętności poprawnego pisania po polsku. Czytamy, że poprawność językowa i stylistyczna dość często wymyka się kontroli autora zaabsorbowanego zawartością dzieła (s. 142). Czy jednak nie należało w tym właśnie miejscu powtórzyć uwagi, że taka umiejętność to obowiązek (s. 139). Łatwiej uznać dopuszczalność stosowania przysłów w wypowiedzi naukowej (s. 117—118) niż dopuszczalność elementarnej nieudolności pisarskiej tej wypowiedzi. Wreszcie: język narodowy wcale nie „towarzyszy” „materiałowi terminologicznemu” wypowiedzi naukowej (s. 118), a tworzy całą niemal substancję językową tej wypowiedzi, w którą dopiero owe „materiały” mogą być wmontowane. Przecież i JT mówi o języku narodowym jako o „zasadniczej podstawie”. Zaś z wymienionych przez JT kategorii przyrodoznawczych tylko jednak niektóre i tylko pod pewnymi względami mają zupełnie inne znaczenia niż odpowiadające im (a słownie z nimi tożsame) nazwy z języka potocznego (s. 95).

3. PUBLIKACJE POPULARNONAUKOWE. POPULARYZACJA

Nie można się zgodzić na ten rodzaj „aplikacji”, jakim jest objęcie prac naukowych i „fachowych” (!?) jedną nazwą tekstów (?) „o zastosowaniach praktycznych” (s. 38). Jest to zgodne z hasłem „nauka w służbie praktyki”, ale niezgodne z pierwszeństwem funkcji poznawczej dzieła naukowego.

Wiedzę odróżnił JT od nauki, ale — jeśli rozumiem — tylko po to, by (z kolei) wiedzę powiązać z praktycznym zastosowaniem nauki (s. 103). Ta praktycystyczna intencja redukcyjno-instrumentalna zostawiła swoje piętno na opinii, że „czynnik ludzki znakomicie przybliży zjawiska i fakty” (s. 97), chociaż szerszy kontekst tej opinii piętna owego nie nosi. Ta intencja pozwala mówić o „przysposobieniu umysłowym” (s. 94), a nie o rozwoju umysłowym; a więc tak, jak się mówi o przysposobieniu zawodowym, wojskowym czy technicznym. JT utrzymuje, że „pojęcia popularyzacji, upowszechnienia i wdrażania (! — S. D.) przekroczyły granice działalności oświatowych i kształceniowych i wtargnęły na teren nauki” i metanauki, podobnie jak i na teren wszelkich form działalności społecznej, gospodarczej, administracyjnej (s. 93). Obejmowanie działań intelektualnych typu metodologicznego określeniem „popularyzacja” (s. 91—92) to — powiedzmyż bez ogródek — żart albo jakiś, skierowany ku środowiskom naukowym, mało zasadny przekaz, ale nie nadająca się do przyjęcia propozycja definicyjna. Nie widać powodu, dla którego by naukowe zagadnienia interdyscyplinarne przy- porządkowywać zagadnieniom popularyzacji (s. 93), nawet jeśli uznamy, że środowisko naukowe czy społeczność uczonych to już też jakiś populus. Trzeba przypomnieć, że wyrazem obcym odpowiadającym słowu „wdrażanie” jest „rutynizacja”, by zrozumieć i odczuć w pełni, jak bardzo się JT oddalił od kulturowej tradycji związanej z pojęciem popularyzacji (będę o tym mówił). JT zawężając rozumie przez adaptację „zastosowanie zawodowe” (s. 91), spożytkowanie zawodowe, zamiast — wszelkie przystosowanie.

Sposób prezentacji przedmiotu w wypowiedzi podręcznikowej (a więc i w samym *Edytorstwie*) określono jako „wyobrażeniowo-aplikacyjny”, ale wiemy, że JT aplikację utożsamiał z zastosowaniem praktycznym. Czytamy przecież: sposób „wyobrażeniowo-aplikacyjny, nastawiony na poznawczo-praktyczną adaptację” (s. 40). Ze schematu przytoczenia wynikałoby, że poznawczości odpowiadać ma „wyobrażeniowość” (choć raczej miałoby się ochotę wiązać ją ze sposobami wypowiedzi poetyckiej). Czyż „tekst” dydaktyczny o nastawieniu praktycznym nie sięga bardziej po sposoby informowania, tłumaczenia, pouczenia, oscylując pomiędzy teoretycznym dyskursem a praktycznym instruktażem. Właśnie jak *Edytorstwo*.

Powiedziano, że „aplikacje” tyczą działalności „zmierzających do poważnych zmian organizacyjnych, instrumentalnych i metodycznych” (s. 91). Skąd się wziął moment „przestrzenności” przy pierwszym rodzaju aplikacji (s. 92)? Terminu „dokumentacja przestrzenna” używa się w urbanistyce, a „zespół dokumentacji przestrzennej” oznacza albo komplet odnośnych opracowań albo grupę projektującą lub wykonawczą, złożoną z inżynierów i techników-kreślarzy. I w tym zastosowaniu termin „przestrzenność” nie budzi wątpliwości. Ale o jaką przestrzenność może chodzić przy teorii działań modyfikujących? Czyżby szło tylko o to, że „plan czy wykres” albo „wyliczenia jednostkowe i statystyczne” (s. 93) wymagają „przestrzeni” na stronie druku? Ależ: co najwyżej powierzchni! I chyba tylko o to szło, skoro jest mowa i o „dokumentacji graficznej”. Okazuje się, że „legenda” planu czy wykresu to zwerbalizowany odpowiednik instrukcyjnej postaci wdrażającego typu popularyzacji (s. 91—93) albo nawet odpowiednik instrukcyjnej postaci wdrażającego typu popularyzacji rozumianej „jako tekst” (s. 89).

Tekst słowny przekazów ikonicznych też był (s. 80) nazwany „legendą” (i metatekstem), ale nie wiadomo, czy i ją należy uznać za „zwerbalizowany odpowiednik (...) popularyzacji”. Zapewne tak.

W którymś miejscu JT wreszcie powiada: „aplikacyjny, czyli realizacyjny” (s. 93) i zdradza swój zbędny komplikacjonizm. Czytelnikowi pozostaje tylko poszerzenie tej szczeliny zdrady: a czy w ogóle „wdrażanie” to (dla JT) coś innego niż realizacja, zastosowanie, wszelka praktyka wykonawcza? Rozsądek radzi, by optymalność przepisów dotyczących pracy wyprowadzać z analizy samej pracy. Zaś u JT mamy do czynienia z dogmatyzującą mistyfikacją: optymalność pracy jest potraktowana jako pochodna przepisów. Mistyfikacją jest umieszczenie „dokumentacji” na pierwszym miejscu „wdrażań aplikacyjnych” (s. 92), skoro owe „plany, przekroje, szkice” są w rzeczywistości załącznikami do przepisów, projektów, programów, stanowiących „rozbudowany tekst” (s. 93). Realizacji (wykonawstwa? działania?) nie da się zaliczać do popularyzacji. Ani odwrotnie: popularyzacja nie może być zredukowana do narzędzia efektywizacji, bo wtedy — proporcjonalnie — kultura musiałaby zostać zredukowana do roli narzędzia w rękach administracji i „produkcji”. Merytoryzm kulturowy poszedłby na służbę do techno-biurokratycznego „formalizmu”. Twierdzę, że szło tu JT (kolejno) o działania skuteczne, o wzmaganie ich skuteczności i o teorie ich skuteczności, czyli: o pion zagadnień prakseologicznych, zbędnie zupełnie pogmatwanych (m.in.) przez wyodrębnienie „typu metodologicznego”, a zwłaszcza przez komentarz do tego „typu”. Spytam bez ceremonii: co wspólnego z popularyzacją mają „działanie aplikacyjno-adaptacyjne”, odnoszące się do „podległego przekształcaniu” zakładu przemysłowego, czy „nawet” całego resortu przemysłu (zob. s. 93)? Czy ma już nie być różnicy między popularyzacją a pragmatyzacją i praktyką działań organizacyjno-reorganizacyjnych? I jaka stąd korzyść poznawcza, że za pracę popularyzacyjną trzeba by uznać *Edytorstwo* jako „podręcznik teoretyczno-instruktażowy” (s. 93)? I wreszcie, czy ten podręcznik, rozwijając te „zasady organizacji pracy” (s. 93), liczy się z własnym tytułem?

Do działalności popularyzacyjnej zaliczono wszelki instruktaż zawodowy, techniczny, organizacyjny, wykonawczy; wszelkie „usystematyzowane” instrukcje, „przepisy, program działania normy postępowania” (s. 92—93)⁷. Czy wszelkie regulaminy także? I statuty? Czy i instytucje? Aż strach pytać, bo nagle cała rzeczywistość społeczna na poziomie informacyjno-komunikacyjnym odśłania swą „popularyzatorską” (raczej niż popularyzacyjną) „istotę”. I nic dziwnego, że przymiotnik „popularnonaukowe” pojawił się pierwszy raz chyba dopiero na s. 113, a więc blisko końca książki i daleko już poza właściwym rozdziałem. Stanowisku JT przeciwstawiam stanowisko K. Górskiego i L. Marszałka, którzy odróżniają wydania szkolne od popularnych, dydaktykę od popularyzacji, z tą ostatnią wiążąc samorzutność inicjatywy czytelniczej i jej bezinteresowność; przypominają, że nawet w statystyce ruchu wydawniczego są (od 1963 r.) publikacje zawodowe wyłączone z publi-

⁷ Por. uwagę L. Marszałka (*Edytorstwo publikacji naukowych. Zarys problematyki*. Warszawa 1974, s. 63), że wielu autorów nie może sobie poradzić z poprawnym napisaniem językowego tekstu pracy naukowej i że dlatego potrzebna jest redakcja językowa tekstu.

kacji popularnonaukowych. Także inni autorzy przyznają, iż nie względy zawodowe są główną przyczyną wydawania literatury popularnonaukowej (choć nie ma — oczywiście — słuszności ten, kto mówi, że autorska i redaktorska odpowiedzialność za dzieło popularnonaukowe jest większa niż za dzieło naukowe, jakoby dlatego, że zasięg odbiorczy pierwszego jest szerszy; ani ten, kto publikacjom naukowym przypisuje funkcję upowszechniania wiedzy)⁸. Tymczasem u JT zatarty zostaje kulturowy sens słowa „popularyzacja” przez powiązanie jej między innymi z wszelkim poradnictwem (s. 92). Z ujęć JT musi wynikać, że utworami popularyzatorskimi są (dlań): książka kucharska i poradnik sadownika, poradnik dla kierowcy, a może nawet informator o przepisach celnych i porady o wywabianiu plam (JT pisze: „informatory, zbiory porad i przepisów”; s. 92). „Jak widać, skala owego poradnictwa jest nader szeroka” (s. 92). Trafność mojego odczytywania wynika i z dalszych słów JT o różnicy między podręcznikiem a informatorem (JT zatrasnął się w wąskiej szczelinie pomiędzy szkolnictwem zawodowym a poradnictwem fachowym), o faktycznych zainteresowaniach „użytkownika”. Wzmianka na temat „czystej wiedzy o przedmiocie” już tylko jak spadająca gwiazda przecina niski nieboskłon „użytkownictwa”. I nie pociesza słowo, iż praca magisterska „nie jest zespołem samych zabiegów technicznych”. Zresztą i pomysł jest dziwny i konsekwencji w nim nie ma. Dziwny jest pomysł zbiorczego nazwania „podręczników, poradników, informatorów, zbiorów porad i przepisów” — pracami adaptacyjnymi, a niekonsekwencją jest jednoczesne przeciwstawienie „prac adaptacyjnych” podręcznikom (s. 92).

Na temat poradników mamy istny kontredans zaleceń i ostrzeżeń: 1° — „nie należy przeceniać ignorancji czytelnika” (jest to tzw. urągły komplement), 2° — „nie wolno szczędzić informacji”, 3° — „aby jednak uniknąć niebezpieczeństwa nadmiaru informacji, należy je ograniczać do określonych zbiorów...”; 4° — Ale zbiory te muszą być różne, więc liczne... (s. 92)⁹.

JT opiera popularyzację na „szkoleniu” i „szkolnictwie” (jako „urządzeniu administracyjnym”) różnych typów, zakresów i stopni, łącznie z kursami, studiami, i innymi formami przysposobienia (s. 90). Teoretyczne podporządkowywanie szkolnictwa (czyżby i wyższego, bo mowa jest o „studiach”?) popularyzacji jest odwracaniem należytego porządku zagadnień (praktykowanym zresztą dość powszechnie w dydaktycznej rzeczywistości studiów zaocznych!). Jakże inną wymowę miałyby np. wskazywanie na związek działań popularyzacyjnych z działalnością towarzystw oświatowych i kulturalnych, z pewnymi inicjatywami uniwersytetów (wykłady otwarte) i towarzystw naukowych itp. Ruch towarzystw i zrzeszeń ma charakter

⁸ K. Górski, dz. cyt. s. 261; L. Marszałek, dz. cyt. s. 28, 49. Zob. też: Praca zbiorowa *Problemy edytorstwa*. Warszawa 1971 s. 24—25, 53—56, 73, 76.

⁹ Tak jak w problemach edytorstwa (s. 116) dzieli się podręczniki na dydaktyczne, akademickie (więc nie dydaktyczne?) i zawodowe. — Wyluczając szkolenie z popularyzacji, tym samym (a może: tym bardziej) wyluczam z niej wszelkie „wdrażanie”, nawet w tym przez JT określonym znaczeniu. Instrukcja obsługi odkurzacza jest „tekstem” wdrażającym, jest nim podręcznik metodyki nauczania w ręku nauczyciela, ale nie są to (wbrew s. 92) teksty „popularyzatorskie”.

społeczny; JT w swej koncepcji kładzie na ruchu popularyzacyjnym piętno administracyjności, samą ideę ruchu zastępuje ideą „urządzenia” działającego według administracyjnej reguły i dyrektywy. Za popularyzację sensu stricto zostaje uznane „kształcenie ustawiczne” (s. 93) podległe szkoleniowej normalizacji. I przesławną kpinę o nacji polskiej, którą Pan Bóg w łaskawości swojej szczególnymi przyozdobił cnoty, przywołuje na myśli opinia, iż różnopoziomowe publikacje popularyzacyjne odpowiadają postulatowi ustawicznego kształcenia — szczególnie w Polsce (s. 90). Ten szkolno-administracyjny instytucjonalizm skłania do budowania niezręcznych określników genologicznych: „gatunki typu fachowego, zawodowego, naukowego” (s. 56). Jednym tchem! By tę niezręczność unaocznić, wskażę, że mawia się „proza naukowa”, że już dziwnie brzmi „proza fachowa”, a dziwacznie „proza zawodowa”. W bardzo szczególny sposób, za sprawą JT, „samo pojęcie popularyzacji uległo bardzo poważnemu rozszerzeniu” (s. 91). I jak w rozdziałach ogólnych mamy (jak na podręcznik redaktorski) przerost elementu teoretycznego, tak w rozdziale o popularyzacji mamy przerost intencji popularyzacyjnej (ale w pełnym sensie przypisanym temu słowu przez JT!). Co więcej: dopiero doświadczenia czytelnicze, wynikłe z zetknięcia z tym rozdziałem, pozwalają na spostrzeżenie, że właściwie intencja ta obecna jest w całej książce, a w tym rozdziale ma tylko swój główny punkt oparcia. Słusznie mówi K. Górski, że czasem się zauważa jakąś rzecz dopiero przy trzecim odczytaniu¹⁰.

JT twierdzi psychologistycznie, że celem popularyzacji jest „wywołanie u odbiorcy ogólnych postaw (czyżby moment indoktrynacyjny? — SD) i stanów świadomości poznawczej” (s. 40). Sądzę, że jest nim raczej uprzystępnienie (z konieczności upraszczające)¹¹, treści pewnej wiedzy trudnej (z powodu jej abstrakcyjności albo skomplikowania). Motywy zainteresowania literaturą popularnonaukową (JT dość uparcie pomija ten termin) zredukowane zostały do dwóch: „zdemaskowania niebezpieczeństw” i „realizacji niemożliwości”; pierwszy jakby żywcem wyjęty z poetyki powieści przygodowej czy powieści grozy, drugi — z poetyki powieści fantastycznej czy z psychointerpretacji marzenia (na jawie?) i snu. Ale sens ich nie jest jasny, a przykłady go nie rozjaśniają, gdyż się odnoszą do obu (różnych!) motywów ryczałtem. Czy niebezpieczeństwo zdemaskowane staje się odsłonięte w całej swej grozie, czy — przez same jego okazanie — obezwładnione? Bywa tak i owak. Nie wiemy, które ze znaczeń wybiera JT. Natomiast realizacja niemożliwości urzeka tak długo, jak długo jest wieścią z daleka, czyli jak długo odbiorca wieści żyje sam poza kręgiem realizacji. Sytuacja odbiorcy sprawia, że wieść ta ma dlań charakter atrakcyjnego paradoksu. Gdy odbiorca znajdzie się w kręgu, treść wieści dotyczy już tylko tego, co leży w zasięgu własnych możliwości odbiorcy. Paradoks się ulatnia.

¹⁰ K. Górski, dz. cyt. s. 102.

¹¹ M. Heller: *Antynomie działania*. „Znak” 1977 nr 5 s. 584. — Gdy przedmiot popularyzacji zostanie ujęty od strony cech dostępnych wyobraźni czytelnika” (s. 94), to nie tyle zostaje „zmieniony”, ile obrócony przed „okiem intelektualnym” (s. 94) czytelnika (zmianie natomiast ulega rzeczywiście język opisu przedmiotu), przy czym jest to taki „obrót”, że pozbawia obraz przedmiotu jego specjalistycznej pełni, pozostawiając tylko popularyzacyjny „kontur”.

Kształtowanie „aktywnej świadomości” nie jest zbyt wyraźnie odróżnialne od manipulowania świadomością na sposoby właściwe propagandzie (jej bliski jest ów „aktywistyczny” akcent). Opowiedziałem się raczej za traktowaniem popularyzacji jako kształtującej świadomość krytyczną, bo to także rodzaj świadomości aktywnej. Dopiero na s. 94 wyjaśniono, że przez „aktywną świadomość” będzie się rozumieć posiadanie pozazawodowych zainteresowań. Nie ma jednak powodów, by — tak ją rozumiejąc — wiązać ją bezpośrednio z „zajmowaniem stanowiska wobec...” (s. 90), gdyż wtedy znów się pragmatyzuje moment intelektualistyczny. I nie zmienia to faktu, że idea popularyzacji ma w ujęciu JT perspektywę nie wychowawczo-kulturową (tzn. nie chodzi przede wszystkim o kształtowanie się wizji świata, bogatej osobowości, krytycznego, „otwartego” umysłu), lecz produkcyjną i prakseologiczną. Chodzi przecież o „praktyczne, zawodowe zastosowanie ściśle określonych przepisów, mających na celu uzyskanie najlepszych wyników danego typu pracy fizycznej czy umysłowej”, o „osiągnięcie optymalnych w danych warunkach efektów pracy zespołowej, instytucjonalnej” (s. 91). Przed wojną Bogdanow zaliczał te zagadnienia do „tektologii”. Niejasne jest pojęcie człowieka „nawykłego do obcowania z poszczególnymi jednostkowymi przejawami rzeczywistości” (s. 95). Powiem jak Apostoł — zaprzaniec: „Nie znam tego człowieka”, ale powiem prawdę, bo nie zna go również sama rzeczywistość społeczna. Ów „człowiek” został przeciwstawiony temu, którego przepoiły wyższe treści nauk humanistycznych. Czyżby to więc był przedstawiciel nauk matematyczno-przyrodniczych, albo tzw. szary człowiek? Otóż i jeden i drugi posiada obraz świata, bo dzięki temu jest m.in. człowiekiem. Kto obcuje tylko „z jednostkowymi przejawami rzeczywistości” nie ma pamięci, która doświadczenia układa w ciągi; nie może mieć i „nawyków”, bo i z nimi wiąże się moment ciągłości i trwałości; a więc jesteśmy na terenie psychopatologii. Czyli: jak JT wysublimował swego redaktora-edytora (piszę o tym w innej pracy), tak shumilizował owego nie-humanistę w tym właśnie punkcie. Bo „codzienne, osobiste doświadczenie” człowieka (s. 95) też ma swoją ciągłość i do niej odniesioną sensowność. W rozdziale o popularyzacji JT znacznie mniej mówi językiem teoretyka kultury, a znacznie bardziej językiem (i tonem) — managera. I tak utknął w administracyjnym punkcie widzenia, że uznaje za potrzebną uwagę, iż podręcznik można rozpatrywać nie tylko jako element wyposażenia „urządzenia administracyjnego” (coś z tego już jest, skoro szkoła nadzoruje zaopatrywanie w podręczniki), ale również jako książkę w zasięgu ręki niezinstytucjonalizowanego, spontanicznego odbiorcy, który po taką książkę sięga niekoniecznie „z racji odbywanych studiów” (ale i tu JT odpędza widmo indywidualistycznej anarchii, tę spontaniczną potrzebę odbioru nazywając ... „programem”; (s. 91).

JT nie odróżnia umasowienia informacji od jej upowszechnienia (s. 94). I traci na tym ton (i sens) wykładu, w tym zwłaszcza miejscu, w którym się mówi o informacji naukowej (szczególnie: jeśli to zestawić z autorską charakterystyką „odbiorcy niżej lub średnio wykształconego”). Przy czym (wbrew JT) żaden z tych terminów nie tylko nie zawiera w swym znaczeniu sygnałów dozowania, stopniowania, ograniczania, ale nawet wręcz takie sygnały wyklucza. Dopuszcza je natomiast termin „uprzystępnianie”. Stopień

uprzystępnienia, stopień przystępności — to są wyrażenia wewnątrznie harmonijne znaczeniowo. Sprawa ta jest szczególnie doniosła tam, gdzie upowszechnianie jest obowiązkiem (np. w odniesieniu do informacji prasowej, zwłaszcza typu dziennikowego). Ten ciąg uwag pozwala na spostrzeżenie, że istnieją oczywiście, przez JT pominięte, związki między upowszechnianiem a prasą (czego znakiem są same terminy: popularyzacja od *populus*, publikacja od *publicus*) i że związki te są w swym charakterze naturalniejsze niż (jak to wyakcentowuje JT) związki między popularyzacją (jako typem działania społecznego) a szkolnictwem (jako administracyjnie ustabilizowanym i znormalizowanym systemem dydaktycznym). Jeśli pamiętać, że w szerokim odbiorze słowa „popularyzacja” i „upowszechnienie” rozumiane są (na szczęście) jako równoznaczne, to trudno liczyć (przy nikłej zasadności terminologicznej) na skuteczność odróżniania „tekstów” popularyzujących i upowszechniających (przyjdzie chyba pozostać przy mówieniu o różnych poziomach popularyzacji). Już wspominałem, że JT właściwie próbuje zinterpretować termin „upowszechnienie” (popularyzacja) przydając mu (m.in.) odcień znaczeniowy — ni to agitacyjny, ni to retoryczny. Samo słowo „upowszechnienie” jest obciążone skrótowością, niedomówieniem jako słowo synkategorematyczne, wymagające dopełnienia (upowszechnienie wiedzy, jej różnych dziedzin). Upowszechnienie jest uprzystępnionym i rozszerzonym w adresie informowaniem. Natomiast JT obciąża je znaczeniowymi elementami „zachęcania”, „wywoływania postaw skłaniających do...”; i w ten sposób popularyzacja staje się nieodróżnialna od — mobilizacji. Zresztą omówienie samego JT często od intencji informacyjnej przesuwa się ku intencji mobilizacyjnej. Pojawiają się apodyktyzmy w rodzaju „każdy musi” (s. 90), wykraczające już swoim charakterem poza podręcznikowe zalecenia i wiadomości skierowane do „redaktora wydawniczego” i nie dające się pogodzić ze wspomnianym wcześniej „swobodnym wyborem”. Popularyzacja powinna być raczej na służbie szans i chęci, a nie przymusów.

Fabularyzację, podstawowy środek wyrazu w dziele narracyjnym, zaliczył JT do technik popularyzacyjnych, ale komentarz do niej budzi zastrzeżenia (s. 96). Określił ją JT jako zamianę „obrazu procesu” (czyli prawidłowości historycznych) na „obraz wydarzeń”, a proces powiązał z „istotnością”, tym samym przekształcając wydarzenia w „przypadłości” procesu. Ujęcie to jest czystej wody aprioryzmem i idealizmem, bo kontur rzeczywistości wyprowadza z ujmującego jej „istotę” spekulatywnego aksjomatu. JT mówi bez osłonek, że realne wydarzenia są następstwem norm prawidłowościowych („procesów”). Wcześniej już wyrażał wiarę w „mechanizmy kierujące ewolucją i jakością kultury różnych społeczeństw” (s. 94), a teraz twierdzi, że wydarzenia historyczne są wywoływane przez abstrakty „ruchów społecznych” (s. 96). Wobec takiej odmiany ni to platonizmu, ni to heglizmu, ni to mechanolatrii — strach już pytać, czy te „mechanizmy” naprawdę nie są już przez nikogo kontrolowane. A może pytać nie warto, skoro „historii już nie ma”, bo wszystko to tylko fabuła i „zręcznie” i „odpowiednio” dobrany materiał ilustracyjny, sztuka („zabieg”) samego popularyzatora, przezeń skonstruowany „układ wyobrazeniowy”? Wprawdzie dalej nieco leżący akapit, zamykający całość rozdziału o popularyzacji ujmuje się (wbrew powyższemu!) za „prawdą o konkretnym życiu ludzkim” (s. 97), ale stwarza — z kolei — niejasności

w sprawie tych idei i koncepcji, za którymi stoi wybór JT. Owa zamiana „obrazu procesu” na „obraz wydarzeń” odpowiada ogólniejszej formule przekładu „pojęć na wyobrażenia”. Jest niby tak, jakby mięsz historii to była strawa dobra dla mniej wyrobionego odbiorcy, którego trzeba dopiero przysposobić do gustowania w samych pestkach „istoty” dziejów (znany rozpaczliwą nudę owych pestkowatych podręczników historii). Wiedząc, dokąd to zmierza, można tylko zaznaczyć, że termin „obraz procesu” to już przekład, bo „proces” i „istota” są bezobrazowe. Dobrze też będzie pamiętać o tym, że to teoretyk powieści (tj. JT) nazwał opowiadanie dziejów fabularyzacją, lecz przykład fabularyzacji podał nielogicznie (s. 96), bo kto staje przed wytworem sztuki, staje wobec przedmiotu kultury (i przedmiotu artystycznego), a nie wobec „wydarzeń”. Przedmiot sztuki przede wszystkim sam siebie nam udostępnia, a kto go traktuje objawowo, zastępczo, ten w dziedzinie kultury (i sztuki) jest redukcjonistą. Już samo tworzenie „kultury, sztuki, estetyki, etyki i w ogóle tworzenie świata wartości” (w różnych jego składnikach) jest „konkretnym zachowaniem się ludzi” (s. 96).

Metody upowszechniania treści naukowych zredukowałbym do zasady analogizowania i budowania proporcji (zresztą w filozofii proporcja bywa traktowana już to jako odmiana, już to jako synonim analogii), co przydałoby całemu ujęciu metod rys cenionej przez JT formalizacji i sprzyjało spójnej klasyfikacji. „Ujemnym odpowiednikiem analogii (jej jakby odwrotnością) jest różnica. Jak analogia swe maximum osiąga w tożsamości, tak różnica swoje — w inności, której psychologicznym odpowiednikiem jest obcość. Zadaniem upowszechniania jest właśnie przewyżczenie obcości treści. Przyjmijmy przy tym, że analogia stanowi komentarz do stosunków jakości, a proporcja — komentarz do stosunków ilościowych. Wbrew JT, „przekładanie pojęć na wyobrażenia” zaliczyłbym do odmiany analogizowania. Ale podany przykład na „unaocznienie” odległości astronomicznych ma u swego podłoża proporcję i tylko ona jest tam istotna, a nie czynnik „obrazowy” (dynia czy arbuz). Oczywiście, czasem komentarz ilościowy sięga do wyobrażenia (stąd i ta dynia), a czasem analogizowanie sięga do proporcji (np. dla wyjaśnienia natury nieskończoności). Analogizowanie przyjmuje formy anegdotyzacji czy nawet fabularyzacji nie tylko wtedy, kiedy chodzi o stworzenie „żywego obrazu” kultury, ale przecież i wtedy, gdy mówimy o „bombardowaniu” przez neutrony i w ogóle wtedy, kiedy indeterminalistyczną naturę mikroświata opisujemy w pozamatematycznym języku przyczyn, przedmiotów, zmian przestrzennych itp. Analogizowanie obejmuje zarówno przekład „pojęć na pojęcia” (np. trudniejszych na przystępniejsze), jak i przekład „pojęć na wyobrażenia”, ale granica między tymi działaniami nie musi być ostra, nawet gdyby przyczyna tej nieostrości miała charakter tylko psychologiczny (w świadomości konkretnej nie istnieją ani czyste pojęcia, ani czyste wyobrażenia) tzn. gdyby nie powinna mieć charakteru teoretycznego, merytorycznego. W każdym razie — wbrew pierwszemu zdaniu paragrafu (s. 95) — za „generalną zasadę popularyzacji” uznamy analogizowanie, a nie sam tylko „przekład wartości pojęciowych na walory wyobrażeniowe”.

Jak nie opowiadam się za „zawyżonym” (nierealnym, utopijnym) modelem „redaktora wydawniczego”, którego obowiązki przerastają w superpreroga-

tywy, tak też jestem przeciwny „zaniżonemu” rozumieniu teoretyczności. „Rozszerzaniu horyzontów myślowych” masowego odbiorcy przy pomocy działań popularyzacyjnych nie przyznawałbym charakteru aż teoretycznego, a po prostu poznawczy, gdyby w ogóle funkcje popularyzacji (a więc i jej wyniki) podzielić na poznawcze i praktyczne — przez praktyczne rozumiejąc te związane z przydatnością potoczno-życiową (np. popularyzacja wiedzy medycznej sprzyja poprawie „wskaźnika zdrowotności”, bo sprzyja upowszechnieniu się stylu życia liczącego się z potrzebami i koniecznościami psychofizycznymi człowieka). To, co JT nazwał wynikiem „pragmatycznym”, uznałbym, za rodzaj krzyżówki działań: popularyzacyjnego i ideologicznego (propaganda). Natomiast „fachowe opanowanie określonej dziedziny”, czy aż „dalsze w niej doskonalenie” uznałbym za domenę szkolenia (zawodowego?), a jego nie traktowałbym jako dziedziny popularyzacji (s. 89). Zresztą trzeba także uwzględnić możliwość, że problemy te inaczej wyglądają z punktu widzenia wydawnictw popularyzacyjnych, a inaczej z punktu widzenia działań popularyzacyjnych, przy czym (powtarzam) popularyzację odróżniam od szkolenia jako działalność innofunkcyjną.

I jeszcze trzy uwagi:

1. Zdziwiająca jest to, że cała ta próba teorii popularyzacji czy próba zarysu popularyzacji wykonana została bez wskazania jednej chociażby pozycji bibliograficznej z zakresu literatury przedmiotu, chociaż w toku wywodu wyraźne są sygnały posługiwania się cudzymi ujęciami i ideami. Czyżby i na tym miało polegać to, że próba ta jest rodzajem „uproszczonej rozprawy” (s. 64)? Rzeczywista zawartość problemowa książki nie usprawiedliwia zastrzeżenia, iż bibliografia odnosi się tylko do problematyki edytorskiej (s. 145).

2. „Krań” zainteresowań czytelnicznych nie ma właściwie granicy swego zasięgu, skoro obejmuje (s. 94) to, co się daje odnieść do „świata czytelnika” na prawach czy to podobieństwa, czy przeciwieństwa, a także na prawach czy to stabilizatora, czy to „zapowiedzi zmian w obrębie tego świata”. Przecież *quintum non datur*.

3. W odczuciu i rozumieniu, że „popularyzatorskie” (s. 89) to raczej odnoszące się do popularyzatora (jak dyktatorskie do dyktatora), opowiadałbym się za używaniem (w potrzebnych JT znaczeniach) formy „popularazyacyjne” (por. np. s. 126), bardziej bezpośrednio związanej z popularyzacją (jak „instalacyjne” z instalacją).

